



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: BOHATEROWIE SIĘ STARZEJĄ

W kinach repertuarowa posucha; wydawałoby się, że film sensacyjno-kryminalny, francuski, z nazwiskami w czołówce tej miary, co reżyser Henri Verneuil i aktor Ives Montand, ściągnie do kas tłumy. Tymczasem - na projekcjach „I... jak Ikar” - pustawo. Gdzie te czasy, kiedy bito się o bilety na komedię Verneuila „Wróg publiczny nr 1” albo kiedy płacono każdą cenę za wejście na „Cenę strachu” i „Bohaterowie są zmęczeni” z Ivesem Montandem w głównej roli... Właśnie wtedy, w połowie lat pięćdziesiątych, Montand i Verneuil „robili sobie” nazwiska; upłynęło od tych czasów lat trzydzieści i obydwaj bohaterowie francuskiego kina zbliżają się do wieku emerytalnego.

Jaki jest bilans ich twórczości? Na pewno wysoki - jeśli chodzi o bohatera „Ceny strachu”, „Czarownic z Salem”, „Pokochajmy się”, „W kręgu zła”, „Manii wielkości”, „Samotnika”. Niewątpliwie przeciętny - w wypadku twórcy „Pięcioraczków”, „Weekendu w Zuydcoote”, „Klanu Sycylijczyków”, „Strachu nad miastem”. Niestety, najmniej efektownie wypada fuzja: Verneuil- Montand w „I... jak Ikar”. Zarówno reżyser jak i aktor - nie zachwycają. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że bez obecności Montanda film byłby w ogóle dość trudny do strawienia. I nie uratowałyby co sam tylko ciekawy (a właściwie: frapujący dla widzów z całego świata) pomysł, na jakim został oparty.

A więc: intryga nie tylko ciekawa, odkrywcza, ile wzbudzająca zainteresowanie potencjalnego widza. „I... jak Ikar” nawiązuje do zabójstwa prezydenta Johna Kennedy’ego oraz prowadzonego w tej sprawie śledztwa, zwieńczonego raportem komisji Warrena. Raportem, który ostatecznie nie wyszedł poza stwierdzenie, że zabójcą prezydenta USA był niepełnosprawny umysłowo, działający „na własną rękę”, Lee Oswald. Do dzisiaj sprawa tego morderstwa pozostaje zagadką i mało jest na świecie ludzi, którzy by wierzyli, iż było ono dziełem samotnego maniaka, terrorysty lub wariata.

„Przypadek” Kennedy-Oswald-Ruby stał się wdzięcznym tematem nie tylko dla tysięcy artykułów prasowych, ale także inspiracją dla autorów licznych książek. M. in. wyjaśnienie „zagadki z Dallas” (oczywiście przy zastrzeżeniu, że przedstawione tutaj fakty i postaci nie mają nie wspólnego z osobami fizycznymi i są wymysłem autora”) usiłuje dać znany francuski dziennikarz Pierre Rey w powieści „Le Grec”. Reżyser Henri Verneuil zastrzega się

jeszcze bardziej, że nic tu nikomu nie sugeruje, umieszczając w czołówce filmu cytaty z Borisa Viana: „Ta historia jest całkowicie prawdziwa, ponieważ sam ją wymyśliłem od początku do końca”, co, oczywiście, ma wzbudzić tym większe zainteresowanie widowni: „odkrył prawdę, ale boi się mówić o tym wprost, bo obawia się czyjejś zemsty”.

Jest w więc w „I... jak Ikar” na ekranie samochód prezydenta przejeżdżający wśród rozentuzjarmowanych tłumów ulicami nowoczesnego, bliżej nie znanego miasta, w bliżej nie określonym kraju. Jest domniemany morderca strzelający z najwyższego piętra wieżowca. Jest komisja badająca okoliczności zabójstwa, i jest szlachetny prokurator Henry Volney (Ives Montand) nie uznający ustaleń komisji i podejmujący na własną rękę śledztwo.

Potem jednak fantazja ponosi Verneuila wciąż dalej i dalej. W kierunku jakichś bliżej nie sprecyzowanych powiązań służb wywiadowczych kraju oraz służb bezpieczeństwa wewnętrznego z międzynarodowymi organizacjami mafijnymi, w stronę mało odkrywczych spekulacji na temat tyranii, w rodzaju stwierdzeń: „Tyran potrzebuje przede wszystkim stanu tyraństwa, a więc przystąpi do rekrutacji miliona małych tyranów-funkcjonariuszy, z których każdy będzie miał do spełnienia pewne bardzo banalne zadanie. I każdy będzie wykonywał je z pełną kompetencją i bez najmniejszych wyrzutów, bo nikt nie będzie sobie zdawał sprawy z tego, że jest milionową, częścią aktu końcowego”. Ilustracją owej tezy - która, jak się wydaje; miała stanowić o psychologicznej „podbudowie” sensacyjno-kryminalnego dreszczowca - jest ponad miarę rozbudowana, aż do znudzenia, sekwencja prokuratora Volney'a w zakładzie uniwersyteckim, kierowanym przez psychologa, profesora Naggara. Sekwencja ta łamie dramaturgiczną konstrukcję filmu, i bez tego pozostawiającą wiele do życzenia. Dochodzi do tego wszystkiego jeszcze podłe - z wyjątkiem Montanda - aktorstwo; niedopracowanie ról ani przez aktorów, ani przez reżysera.

Na koniec, rzecz chyba zasadnicza: „I... jak Ikar” kręcony był bardziej w konwencji widowiska telewizyjnego, jakiegoś, bo ja wiem, „teatru faktu” z tzw. „plenerowymi dokrętkami filmowymi”, niż w artystycznym wymiarze „prawdziwego kina”. Może zupełnie inaczej oglądałoby się go na szklanym ekranie. Na ekranie kinowym - razi, pozostawia wrażenie niedosytu, stosowania przez reżysera jakichś uproszczeń inscenizacyjnych, które umykają zwykle uwadze w telewizji.

Tak naprawdę, to najbardziej podobał mi się w „I... jak Ikar” zawodowiec-włamywacz, przypominający z wyglądu polskiego reżysera filmów-gigantów, Jerzego Hoffmana.